

Koszykówka: Grzeszczak wspomina mistrzostwo

PiÅtek, 22 czerwca 2012 r. godz. 19:44

Koszykarska Legia pod koniec lat 90. miała bardzo silne drużyny młodzieżowe, z którymi dwa medale mistrzostw Polski zdobył Jacek Łączyński. Najpierw legionisci wywalczyli w Jarosławiu srebrny medal w kategorii kadeta, pokonując w półfinale Śląsk Wrocław i przegrywając jednym punktem po dogrywce z Unią Tarnów. Dwa lata później w Tarnowie Legia zrewanżowała się Unii i zdobyła mistrzostwo Polski Juniorów. Tamte mecze wspomina w rozmowie z nami Marcin Grzeszczak.

Ile lat trenowaliście w Legii, zanim zdobyliście mistrzostwo Polski juniorów?

- Na Legię przyszedłem w ósmej klasie podstawówki, do trenera Łączyńskiego. W mistrzostwach startowaliśmy jak byłem w trzeciej klasie LO. Czyli można powiedzieć, że trzy lata do mistrzostwa, półtora do wicemistrzostwa.

Treningi odbywały się od początku w Legii, czy to były jakieś szkoły współpracujące z klubem?

- Najpierw przez rok trenowaliśmy jako Legia, ale przy szkole na Domaniewskiej. Po roku przenieśliśmy się już na Obrońców Tobruku.

Dużo osób zaczynających wtedy treningi zostało aż do zdobycia mistrzostwa?

- Praktycznie 80 procent. Wiadomo, że kilka osób wykruszyło się, bo to zawsze tak bywa. Jak przychodziłem, to trenowało ok. 16 osób. Później były momenty, że na zajęciach było nas 5-6, bo część już trenowała z pierwszą drużyną.

Pierwszy zespół Legii grał wtedy w niższych ligach. Wasz sukces chyba ich nakręcił?

- Po tym jak zdobyliśmy mistrzostwo Polski juniorów, seniorzy w końcu awansowali do ekstraklasy.

Były szanse, żeby wejść do pierwszej drużyny?

- Jacek Łączyński dał pomysł w klubie, prezesem wtedy był Andrzej Nowak, żeby większość drużyny juniorów przeszła do pierwszego zespołu. Wtedy chyba był jednak kiepski okres dla młodzieży w koszykówce. Nie szanowano za bardzo młodych.

Zanim zostaliście mistrzem Polski, rywalizowaliście w województwie mazowieckim i to tu doznaliście jedynej porażki.

- Najpierw graliśmy mecze w Warszawie, później w okręgu, następnie w turnieju półfinałowym i finałowym. W całym sezonie rozegraliśmy wtedy 30 meczów i ponieśliśmy jedną porażkę.

Mecze z Polonią traktowaliście prestiżowo?

- Na pewno. Zresztą ja miałem półroczny epizod w Polonii, gdzie poznałem Łukasza Zajączkowskiego, obecnego rozgrywającego Legii - wtedy juniora Polonii. Po tym jak graliśmy naprzeciwko siebie w meczach Legii z Polonią, zawsze były małe wojny. Rzadko mecze kończyły się bez przewinień technicznych czy większych awantur. Na derbach zawsze się działo.

Graliście wtedy na tej samej pozycji?

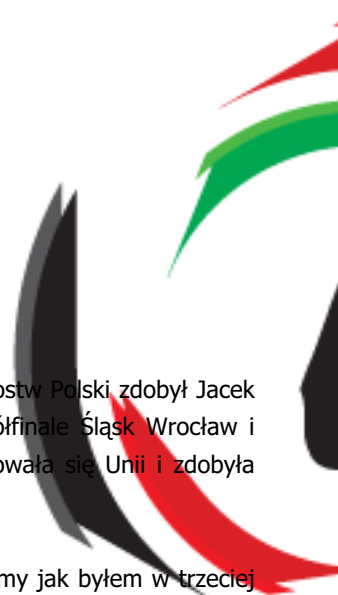
- Tak, obaj byliśmy rozgrywającymi. Rywalizacja była na maksa. Do tego ja z Polonią rozstałem się w niezbyt przyjemnych okolicznościach. "Zajac" natomiast był wiodącą postacią swojej drużyny, w Polonii prawie wszystko na boisku zależało od niego.

Można więc powiedzieć, że jadąc na finały mistrzostw Polski juniorów byliście faworytem?

- Tak, na pewno tak było. To było zaraz po zdobyciu wicemistrzostwa Polski kadetów. Już przed wyjazdem do Tarnowa trener powiedział nam, że jedziemy na mistrzostwa po złoto, a jak go nie wywalczymy, to będzie porażka.

Jak w Tarnowie zostali przyjęci młodzi zawodnicy Legii?

- W Tarnowie nie spotkaliśmy się z nieprzychylnymi sytuacjami. Wiadomo, coś tam krzyczano pod naszym adresem z trybun, ale nie było źle. Gorzej było dwa lata wcześniej w Jarosławiu - tu nie było mowy o wyjściu na miasto. Zresztą w Tarnowie zrewanżowaliśmy



się Unii Tarnów, z którą dwa lata wcześniej przegraliśmy mecz finałowy, właśnie w Jarosławiu. Przegraliśmy wtedy jednym punktem po dogrywce, natomiast w finale MP Juniorów pokonaliśmy Unię różnicą 20 punktów. Warto dodać, że jedyną ekipą, która nas dopingowała w finale był Instal Białystok. W tym miejscu pragnę pozdrowić Pawła Czecha.

Zanim doszło do turnieju finałowego w Tarnowie w 1999 roku, musieliście do niego awansować?

- Po wygraniu w makroregionie zagraliśmy turniej 1/4 finału na Bemowie, w którym zwyciężyliśmy. Następnie pojechaliśmy na półfinały do Torunia - tam zagraliśmy z AZS-em Toruń, Basketem Poznań i Notecią Inowrocław. Finały odbyły się w Tarnowie. W fazie grupowej rywalizowaliśmy ze Śląskiem Wrocław, SKK Szczecin i Zastalem Zielona Góra. W półfinale turnieju finałowego pokonaliśmy zespół z Białegostoku, a w finale gospodarzy, Unię Tarnów.

Kto stanowił trzon tamtej drużyny?

- W pierwszej piątce grali Maciek Adamski, Robert Trojanowski, Robert Żuk, Michał Polanowski i ja. W zespole był też Marek Bardziński, Bartek Błaszczyk, Piotr Paprocki, Ernest Białecki, Paweł Cegłowski.

Kilku z nich miało okazję zadebiutować w pierwszym zespole Legii.

- Po zdobyciu mistrzostwa większość z nas zaczęła trenować z seniorami. Trojanowski i Żuk już w trakcie sezonu byli powoływani do seniorów i byli w składzie tej drużyny. Reszta raczej ocierała się o skład pierwszego zespołu. Nie było to na pewno łatwy okres dla młodzieży.

Ile czasu miałeś okazję trenować z pierwszym zespołem?

- Dwa lata, może dwa i pół roku. Miałem także szansę zagrać w pierwszej drużynie w trakcie turnieju, który rozgrywany był pomiędzy świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem. Zagrałem wtedy kilka minut w którymś meczu.

Dlaczego nie udało się przebić?

- W klubie wolano zatrudniać obcokrajowców niż stawiać na "swoich". W tamtym okresie zresztą na mojej pozycji zatrudniono na przykład Tomasa Pacesasa, a nawet bez niego konkurencja była spora. Rywalizowałem o miejsce w składzie nie tylko z nim, ale i z Wojtkiem Królikiem, Danielem Stecem czy Jackiem Rybczyńskim. Nie licząc innych młodych.

Kiedy pojawiły się myśli o odejściu z Legii?

- Po obozach przygotowawczych na Litwie rozmawiałem z trenerem Gembalem, który mówił, że dalej mogę trenować z pierwszym zespołem. O grze raczej nie było co marzyć. Niedługo później zaproponowano mi wypożyczenie. Byłem na testach w AZS-ie Lublin, gdzie pokazano, że bardziej szanują własnych wychowanków.

To był ten sam okres, kiedy w Lublinie na wypożyczeniu był Kamil Sulima?

- Na testy pojechaliśmy razem z Kamilem i Piotrkim Paprockim. Kamil został w Lublinie, a my wróciliśmy. Później pojechaliśmy jeszcze na testy do Kielc. Mieliśmy podobno zapewnione, że będziemy tam grali w kolejnym sezonie, ale na miejscu nie było tak jak miało być - chyba kielczanie liczyli, że za śmieszne pieniądze pozyskają Michaela Jordana. Wróciłem więc do Warszawy i trenowałem dalej z Legią, ale sam trening to za mało. Nie było jakichś przesłanek wskazujących na to, że wkrótce będę grał. Przerwałem treningi na około rok, a później grałem jeszcze w Sochaczewie w lidze amatorskiej ze trzy czy cztery lata. Skończyłem z graniem po tym jak w Sochaczewie doznałem kontuzji zerwania ścięgna Achillesa. Od dwóch lat nie gram w koszykówkę.

Jak wspominasz pobyt w Legii - zgrupowania, treningi?

- Pobyt w Legii to super przeżycie. Mieliśmy bardzo dobrą ekipę. Większość obozów odbywała się w Polsce, ze dwa razy byliśmy też na Węgrzech.

Trenerzy dawali Ci szansę gry w sparingach?

- Tak, podczas obozów dostawałem szanse. Jak wracaliśmy z Litwy, jechaliśmy wkrótce do Białegostoku na turniej. Grałem tam m.in. w meczu z Instalem Białystok. Po tych meczach trenerzy mówili, że wszystko będzie ok. i żebym się nie poddawał w walce o miejsce w składzie. Jakoś niedługo później nabawiłem się kontuzji i miałem dwa miesiące z głowy.

Można dojść do wniosku, że dla Was - młodych zawodników - awans do ekstraklasy oznaczał w dużej mierze konieczność grania ławy.

- Coś w tym jest. Wiadomo, że w ekstraklasie grając tylko wychowankami nie osiągnięto by zbyt wiele. W tamtym czasie tak

naprawdę brakowało czegoś takiego jak Młoda Ekstraklasa, gdzie młodzież mogłaby się ogrywać, a trenerzy mieliby ich cały czas na oku, widzieli czy robią postępy. Same treningi nigdy nie dadzą tego co regularna gra. Ogólnie pobyt w Legii, a spędziłem tu łącznie z 6-7 lat, wspominam bardzo miło.

Jak wspominasz trenera Łączyńskiego, z którym osiągałeś sukcesy w koszykówce młodzieżowej?

- Doskonały człowiek i moim zdaniem najlepszy trener, z jakim miałem przyjemność trenować. Potrafił świetnie zmotywować ludzi - jak się u niego wychodziło na boisko, to zawsze był jeden cel - zwycięstwo. Miał takie swoje powiedzenie, które zapamiętałem: "Jak masz frajera przed sobą, to go duś". Przeważnie nasze mecze w tamtym czasie tak się właśnie kończyły, wygranymi różnicą 20-30 punktów.

Fakt, że Łączyński był wcześniej bardzo dobrym zawodnikiem chyba pomagał? Mógł Wam pokazać jak rozgrywać akcje itp.

- Tak, to na pewno pomagało. Miał bardzo dobry warsztat. Było dużo zagrywek, myślę że może nawet więcej niż pierwszy zespół w tamtym czasie. Mieliśmy zaplanowane rozegranie akcji na bardzo różne sposoby, także z różnych miejsc z autów, czasem po kilka różnych kombinacji.

Trenerzy pierwszego zespołu obserwowali Wasze mecze?

- Rzadko albo nawet wcale. Nie było, i nie wiem dlaczego, zainteresowania z ich strony naszym zespołem. Dziwi mnie to tym bardziej, że wychowanek zawsze jest tańszy w utrzymaniu niż zawodnik, którego się kupuje z zewnątrz.

Co dostaliście za zdobycie mistrzostwa Polski?

- Medale i zegarki.

Od klubu czy Związku?

- Zegarki od Legii. Było wtedy takie spotkanie z prezesem, był na nim obecny także Robert Chabelski, i otrzymaliśmy na nim zegarki.

Jak podchodziliście wtedy do Waszego osiągnięcia? Ogromny sukces czy "misja wykonana"?

- To był na pewno ogromny sukces. Mieliśmy wtedy przecież po 18 lat, a nie na co dzień zdobywa się mistrzostwo kraju. Cieszyło nas także to, że zrewanżowaliśmy się ekipie, z którą przegraliśmy dwa lata wcześniej. Tej radości nie da się opisać. Z dzisiejszej perspektywy to na pewno bardzo miłe wspomnienie i pamiątka na całe życie. Oby częściej Legia osiągała takie sukcesy w kategoriach młodzieżowych.

Legia wtedy miała przede wszystkim drużyny młodzieżowe.

- W tamtym okresie w Legii było sporo roczników, pięć na pewno. Młodszych chłopaków od nas trenował Paweł Malinowski. Niestety później wszystko się rozpadło.

Z Waszej drużyny ktoś wyróżniał się tak, że można było już wtedy spodziewać się, że zrobi większą karierę?

- Na pewno tak. Największe sukcesy wróżyli Żukowi, Polanowskiemu i Trojanowskiemu. Z tego co się orientuję, to Robert Trojanowski jeszcze w zeszłym roku grał we Francji. Żuk i Polanowski po pewnym czasie wyjechali do USA. Może gdyby były fundusze i dano się nam wtedy ogrywać na przykład w III lidze, to każdy z nas osiągnąłby więcej?

W jakich warunkach byliście kwaterowani na obozach czy turniejach?

- Jeśli chodzi o obozy to zazwyczaj było całkiem nieźle, bo byliśmy zakwaterowani w pensjonatach czy małych hotelach. W juniorach na pewno nie za wszystko płacił klub. Częściowo koszty obozów pokrywali nasi rodzice. Na warunki w czasie zgrupowań nie można było narzekać. Inaczej było, gdy jechało się na turnieje ligowe - wtedy zazwyczaj spało się w salkach na hali, więc nie było to zbyt komfortowe.

Zdarzały się sytuacje, że kibice innych drużyn byli do Was wrogo nastawieni?

- Pamiętam jedną niezbyt przyjemną sytuację, gdy graliśmy z ŁKS-em w Łodzi. Na mecz przyszło z 500 osób, wypełnili balkony. Było naprawdę gorąco. Po meczu policja eskortowała nas od drzwi do autokaru, sami nie mogliśmy wyjść. Ale zazwyczaj nie spotykaliśmy się z jakąś przesadną wrogością.

Jak wyglądało zainteresowanie Waszymi meczami w Warszawie?

- Mało osób przychodziło. Głównie rodzice i znajomi.

W Legii właśnie w tamtym okresie zaczęli pojawiać się pierwsi gracze zagraniczni.

- Pamiętam "Mamo" Potparę, Chambersa, Jarreta. Pewnie był ktoś jeszcze. Z kilkoma grałem.

Nie było problemów z dogadywaniem się?

- My wtedy byliśmy w liceum, angielski był w szkołach, więc problemów z dogadaniem się nie było. Najgorszy, w sensie najtrudniejszy do zrozumienia, angielski miał Chambers. On mówił slangiem z Nowego Jorku. Kilka razy musiał powtarzać o co mu chodzi, bo inaczej ciężko było zrozumieć. Kenroy Jarret pochodził z tego samego miasta co Chambers, a z nim bez najmniejszego problemu można się było dogadać.

Trenerzy Legii nie mieli problemów, żeby porozumieć się z nimi?

- Różnie to bywało. Pamiętam taką śmieszną sytuację, jak Chambers poimprezował dzień wcześniej, później przyszedł na trening - położył się na środku i nie było z nim żadnego kontaktu. Nie reagował na uwagi trenerów. Nie wiem czy zawsze trenerzy bez kłopotu rozumieli się z zawodnikami. Na pewno czasami z przekazywaniem wskazówek musieli pomagać koledzy z drużyny.

W pierwszym zespole było wtedy kilku starszych zawodników. Jak byliście przez nich traktowani?

- Bardzo dobrze. Starsi pomagali, tłumaczyli i nie dało się odczuć dystansu. Mnie osobiście najlepiej się współpracowało z Wojtkiem Królikiem, człowiekiem, który w polskiej lidze grał przez wiele lat na wysokim poziomie oraz z "Rybą" [Jackiem Rybczyńskim]. Starsi chcieli nam przekazywać swoje doświadczenie, nie było z ich strony podejścia - "odejdź młody". Dużo wymagali i to procentowało. Pewnie, były ze dwie osoby, które, wydawało mi się, że nie są przychylne do młodych, ale może odbierałem to dlatego, że byłem młody?

Rozmawiał Marcin Bodziachowski